

Koncert to przystanek, a nie cel

Droga jest najważniejsza. Kolejny koncert to przystanek, a nie cel. Nauka śpiewu nie prowadzi do momentu, w którym wszystko już umiemy. Co najwyżej po osiągnięciu kolejnego etapu możemy zdecydować, w jakim kierunku dalej iść.

Ukształtowała mnie rozpoczęta w siódmym roku życia edukacja w szkole muzycznej. Była to zarazem szkoła ogólnokształcąca, spędzaliśmy tam więc mnóstwo czasu – to był styl życia, nie tylko nauka. System nauczania opierał się na karach i nagrodach, panował klimat rywalizacji i perfekcjonizmu. Co roku zdawaliśmy egzaminy, odbywały się stresujące „popisy klasowe”. Lęk bywał paraliżujący. Nikt nas nie uczył, jak sobie z tym radzić. Część nauczycieli wspierała podopiecznych, ale wszyscy musieli działać według zasad systemu nauczania. Trudno było ukształtować poczucie własnej wartości, które w pracy muzyka jest ważne. Dopiero na studiach z edukacji artystycznej złapałam oddech, spróbowałam sił w rysunku, rzeźbie, fotografii, zdobyłam wiedzę z psychologii, pedagogiki. Zobaczyłam, że z twórczości można czerpać radość, otworzyłam się na ludzi, zetknęłam ze środowiskiem amatorów, zajmujących się sztuką dla przyjemności, ale na dobrym poziomie. Wróciłam na zajęcia ze śpiewu solowego w AM w Łodzi, ale podchodziłam już do tego z dystansem.

Gdy zaproponowano mi pracę z chórem ewangelickim (obecna „Concordia”), udzieliła mi się energia amatorów, ale zdałam sobie sprawę, co w tradycyjnej edukacji muzycznej w szkole było dobre: dyscyplina i pracowitość. Przy pracy z chórem są niezbędne. Jeśli chcemy coś osiągnąć, głos wymaga systematycznego doskonalenia. Musimy grać do jednej bramki, jak to jest w sportach drużynowych. Udało mi się to przekazać prowadzonym przeze mnie zespołom – zespołom, bo zaczęłam też pracę ze Stowarzyszeniem Śpiewaczym im. Moniuszki w Łodzi, Chórem Żydowskim „Clil” i Chórem „Dialog” przy Pałacu Młodzieży.

Każdy zespół ma swoje oczekiwania i wymaga innego podejścia. Ważny jest balans między dyscypliną a spontanicznością. Chcę nauczyć bezpiecznej emisji głosu, dzięki której śpiew będzie nie tylko czysty, wykonywany równo i z ładną barwą, ale i z głębszym przesłaniem artystycznym. To wymaga koncentracji, bo chórzyci nie czytają nut, bazują na pamięci. Wymaga też precyzyjnego wytłumaczenia, co należy zrobić. Kluczowe jest dostosowanie formy przekazu do grupy. Czasem używam języka technicznego, czasem pokazuję ciałem czy wyrażam coś w łatwy do zwizualizowania sposób – gdy powiem na przykład „poczujcie, jakbyście uśmiechali się wewnętrznie do całego świata”, chórzystom podnosi się podniebienie, rozluźnia krtań i już nie muszę mówić, że trzeba to zrobić. Jeśli powiem coś, co rozśmiesza, przepona się rozluźnia i dźwięk nabiera blasku, staje się żywszy.

Trzeba zrównoważyć oczekiwania swoje i zespołu. Brać pod uwagę jego sugestie, ale i pamiętać, co jako dyrygent chcę zrealizować i jak oceniam możliwości grupy. Chóry uwielbiają występować, bo nie są skażone lękiem jak absolwenci szkół muzycznych, ale nie możemy tylko koncertować, potrzebny jest czas na rozwój, przygotowanie repertuaru. Ważne jest wsparcie po doznanych porażkach. Chórzyci często biorą na siebie „winę”, jakby obawiali się, że przyjdę i ich srogo rozliczę. To nawyki wyniesione ze szkół. Pracuję na innych zasadach, wspieram, ale też mówię wprost, gdy nie jestem zadowolona ze sposobu wykonania. Rywalizacji nie da się uniknąć, bo chóry biorą udział w konkursach, ale staram się budować w grupie atmosferę wsparcia i zachęcać do rozwijania zainteresowań. Chórzyci chodzą na koncerty, spektakle, bo próby, na których uczymy się techniki, to za mało, edukacja kulturowa to pojęcie szersze. Z „Moniuszkowcami” zainaugurowaliśmy muzyczne wieczory czwartkowe – koncerty, na które uczestnicy prób zapraszają

wybranych wykonawców. Stali się dzięki temu także animatorami kultury.

Wysłuchała Paulina Ilska